

Ewa Kuryluk

Magia "Prawdziwej Twarzy"

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (66), 167-175

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ewa KURYLUK

Magia „Prawdziwej Twarzy”

Zacznę od podziękowania organizatorom gdańskiej konferencji¹ poświęconej twarzy. Skłoniliście mnie, drodzy Państwo, do przypomnienia sobie, skąd się u mnie wzięło zainteresowanie „prawdziwą twarzą”. Zaiste, „wisiąca” ona jakby w powietrzu, a zafascynowała nie tylko mnie, ale całe pokolenie, a może nawet kilka pokoleń urodzonych w XX wieku.

To smutne stulecie jest dziś przedmiotem analizy historyków, ekonomistów, socjologów, politologów, antropologów, psychologów, psychoanalityków. Do nich powinni się przyłączyć, w większym niż dotąd stopniu, historycy sztuki i literatury, religioznawcy, specjaliści od mitów, legend, folkloru, kultury popularnej, zabobonu, magii i wielu innych zjawisk, często wstydliwych i na pozór peryferyjnych, a w istocie kluczowych dla zrozumienia podatności na symbolikę i retorykę totalitaryzmu.

Dwudziestowieczni dyktatorzy postawili na kult wodza. W praktyce oznaczało to kult jego „prawdziwej twarzy”: magicznej ikony spreparowanej w oparciu o fotografię. Portret wodza dokumentował rysy jego twarzy, a zarazem sugerował nadludzki charakter, jaki posiadały twarze bogów, szczególnie zaś bogów słońca. Połączeniem weryzmu z magią solarną posłużyły się wszystkie systemy totalitarne. Słusznie. Uczłowieczone słońce, odgrywające zarazem rolę boga i wodza, należy do najstarszych wyobrażeń ludzkości. Jest symbolem oczywistym i uniwersalnym, dziecinnie łatwym do uzewnętrznienia. Jest też doskonałym narzędziem zniewolenia umysłu.

Tych z Państwa, którzy pragną prześledzić historię i strukturę niektórych kultów solarnych, odsyłam do książki *Weronika i jej chusta*. Moje studium kończy się

^{1/} Tekst ten został przedstawiony na sesji *Twarz* zorganizowanej przez Nadbałtyckie Centrum Kultury oraz Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Gdańsku, w dniach 23-25 listopada 2000 r., i ukaże się w 2001 roku w książce gromadzącej materiały z tej sesji.

Glosy

u progu XX wieku. Powinam była je doprowadzić do współczesności, podkreślając, jak wielkie wrażenie ikony solarne wywarły na mnie. Ale przed dwudziestu laty nie byłam tego świadoma. Magię twarzy solarnej omawiam więc na tle swojej autobiografii po raz pierwszy. Mam nadzieję, że niektóre wątki odezwą się echem w życiorysach Państwa.

Moje wczesne dzieciństwo w Warszawie, do której rodzice przenieśli się z Krakowa na początku 1947 roku, płynęło pod znakiem strachu – przed wojną, bombą atomową, Niemcami, imperialistami, kułakami – i wiary w lepszy, słoneczny świat. Ojciec milczał, mama chorowała. Wychowywałam się w przedszkolach i świetlicach. Zanim nauczyłam się czytać, byłam już namiętną oglądaczką gazetek szkolnych i „Świerszczyka”, ilustrowanego tygodnika dla maluchów. Pochłaniałam obrazki nowiutkich domków w ślicznych ogródkach, uśmiechniętych słoneczników i roześmianych dzieci, wpatrzonych w wesołą buzię słońca.

Wiedziałam, co oznaczało. Przedszkolanka powtarzała – słońcem wszystkich dzieci jest Stalin – i często pokazywała nam dowody jego miłości. W pamięci utkwił mi Stalin w białym mundurze z czerwonymi gwiazdkami i złotymi guzikami. Stał w oknie, słońce otaczało głowę promienną aureolą. W palcach trzymał cukierek w czerwonym celofanie. Ku Stalinowi wspinała się na paluszkach dziewczynka, wpatrzona w jego rumianą twarz. I ja lubiłam ją oglądać. Ciągnęło mnie do koleżanki, której rodzice wytapetowali ściany twarzami Stalina. Własnym rodzicom nie mogłam wybaczyć, że w naszym mieszkaniu wisały krajobrazy i martwe natury, w tym, na głównym miejscu, *Słoneczniki* Van Gogha: ich ówczesna popularność to osobny, aczkolwiek pokrewny rozdział.

Na placu Trzech Krzyży stoi okrągły budynek z kopułą i krzyżem. Zamiast na spacer do Parku Kultury, zaprowadziła mnie tam pani Jadzia. Dwukrotnie przyklękała, najpierw przed twarzą z promieniami, potem przed twarzą ze złotym kołem wokół głowy. Podobny hołd sama chętnie złożyłabym Stalinowi. Zaniepokoił mnie jednak brak wąsów i przy wyjściu bąknęłam: To naprawdę on? – Tak, tak – pogłaskała mnie po głowie pani Jadzia. – To pan Jezus, nasze słońce.

Śmierć Stalina, wielki wstrząs, trochę mi osłodził nieoczekiwany zaszczyt. Wybrano mnie, bym stała na baczność przed ogromną twarzą, przeciętą na pół czarną wstęgą. Do domu wróciłam zapiakana, przygotowana na żalobę i smutną muzykę, zewsząd płynącą z radia. A tu rodzice z płyty słuchali walca, popijali likier. Ogarnął mnie wstyd, z odrazą wybiegłam z pokoju. Pod stołem kuchennym leżała „Trybuna Ludu”. Schowałam się tam i uklękałam przed twarzą Stalina. W nocy śniło mi się słońce: spadło z nieba i utopiło się w stawie.

Potem przyszły dalsze szoki. O Stalinie zaczęły krążyć straszne wieści. Ze ścian i gazet znikwały jego twarze, z ilustracji i wierszy ubywało słoneczek. Moja pierwsza wielka miłość została pogrzebana w Arteku. Czy ktoś w ogóle jeszcze pamięta słoneczne państwo dzieci, założone na Krymie przez Stalina? W wypracowaniu *Moje największe marzenie* napisałam: zostać traktorzystką w Arteku. Nim minął rok, podслуchałam rozmowę o głodzie i tyfusie „w tym stalinowskim sierocińcu”. I straciłam wiarę w świetlaną przyszłość.

Kuryluk Magia „Prawdziwej Twarzy”

Brak wiary raził wielu moich rówieśników. W angielskim Cambridge – byłam już wtedy studentką – ambicją młodego socjologa stała się przebudowa mojej świadomości. W tym celu zabrał mnie na film wyreżyserowany przez żonę Mao-Tse-tunga. Jej dzieło otwierał obraz tarczy słonecznej na bezchmurnym niebie. Następnie kamera ruszyła w kierunku słońca. Gdy do niego dobiła, słońce pokazało swoją prawdziwą twarz. Nim ją poznałam, mój kolega poderwał się z miejsca i zaskandował: Mao, Mao! Nasze słońce.

Wiosną 1980 roku poleciałam do Chin z grupką „zachodnich ekspertów”, wysłanych przez UNESCO w ramach nawiązania „pierwszych kontaktów po Rewolucji Kulturalnej”. Mao już leżał w grobie, ale jego słoneczne oblicze – namalowane farbą olejną, wykute w białym marmurze, odlane w brązie, utkane z wełny, wyhaftowane na jedwabiu, ułożone z piórek, muszelek, płatków piwonii i różnokolorowych ziarenek z piasku – patrzyło na mnie zewsząd. Twarzom towarzyszyły słowa Mao-Tse-tunga, wykonane w rozmaitych technikach, ale także przetłumaczone na prądowną chińszczyznę. Jeden z cytatów brzmiał: „słońce wschodzi na wschodzie”. Najstarszy chiński piktogram słońca – kropka w środku koła – wyglądał tak samo jak egipski hieroglif słońca. Namiestnikiem słońca na ziemi był w Egipcie faraon, w dawnych Chinach – cesarz.

Wyjawił mi to, poglobem i rozglądając się na boki, profesor Akademii Sztuk Pięknych. Jego reedukacja na polach ryżowych najwyraźniej się nie powiodła. Inaczej nie zdobyłby się na odwagę, by mi wskazać palcem kropkę w kółku, archaiczny piktogram słońca, na brudnej ścianie stołówki. I dorzucić: To pani znajdzie co krok. Rzeczywiście, słońce widniało u wezłowia łóżka, na którym spałam. Gdy po trzech miesiącach z Chin odlatywałam, na ciężarówkę ładowano skrzynki na donosy. Na ziemię spadały twarze i znaki słońca.

Jesienią 1980 roku wystawiłam w warszawskiej Galerii Krytyków serię dużych autoportretów – bez tytułów. Swoje ponad metrowej wielkości twarze narysowałam – *en face*, z szeroko otwartymi oczami – rdzawym tuszem na białych bawełnianych chustach. Po ich obejrzeniu kilka osób uściśnęło mi rękę z porozumiewawczym uśmiechem, gratulując „zaangażowania”. W co? Oświecił mnie nieznamomy osobnik, który moje autoportrety skrytykował tak: Jasne, słońcem jest, ale wypadł pani za czerwony. – Kto? – szepnęłam zdumiona. – Jak to kto? Lechu.

Wiosną 1981 roku chusty z autoportretami pokazałam na Biennale Sztuki w Medellin, kolumbijskim centrum handlu kokainą. W dwa dni po wernisażu postrelono w Rzymie Jana Pawła. Krew trysnęła na białą suknię, a mnie media ogłosiły wizjonerką, symbolistką i patriotką. Zwrócono uwagę na „tragiczne barwy narodowe”, w których oddałam twarz papieża. Pochwalono, że go przedstawiłam jako „słońce nadziei na polskim niebie”.

Po wystawie kolumbijscy artyści zabrali mnie w góry. Chcieli mi coś pokazać. Z zagadkowymi minami nieśli w plecakach butle z wodą. Zatrzymaliśmy się pod skałą, pokrytą białym pyłem. Gdy ją zmoczyli, ukazały się czerwone kółka z kropką w środku: prehistoryczne znaki słońca, identyczne jak w Chinach i Egipcie. O zmierzchu dotarliśmy do innych symboli słońca: słupów z wypolerowanego

różowego granitu, wbitych w ziemię i ustawionych w koło. Jeden stał w środku. W poświęcie zachodzącego słońca wyglądały na żywe penisy. A ja wyobraziłam sobie, że je widzę z lotu ptaka: jak tworzą znak solarny.

12 grudnia 1981 roku otwarto w Bostonie moją pierwszą wystawę amerykańską. Rdzawy tusz na bawełnie kojarzył się wszystkim, nawet mnie, z krwią na śniegu. W autoportretach dopatrywano się wizerunków internowanych. Przedstawiciel lokalnej Polonii zwrócił się do mnie z ofertą: zamawiam u pani dwa portrety na fladze naszego klubu. Wałęsa biały na czerwonym, papież czerwony na białym.

W styczniu 1982 wysiadł mi błędnik. Do utraty równowagi dołączyło pytanie o autoportrety. Odpowiedzi nie znalazłam, ale mi jej udzieliła przyjaciółka, mówiąc krótko: Jasne, że nikt cię nie poznaje. Tak portretuje się bogów i bohaterów, a nie kobiety. Wyliczyła powody: monumentalność, frontalność, powaga, kolorystyka. I dorzuciła: A katolikom się to na dodatek kojarzy z twarzą Jezusa na chuście Weroniki.

Chusta Weroniki nie zainspirowała moich autoportretów ani w ogóle rysunków na materiale. Na ten popularny motyw malarstwa średniowiecznego zwróciłam bliższą uwagę na skutek przemiany, która się dokonała w mojej twórczości. Pod koniec lat siedemdziesiątych – zapewne pod wpływem smutnych przeżyć osobistych – porzuciłam malarstwo dla rysunku na luźnych tekstyliach. Eksperymentowałam z różnymi materiałami, ale szybko zdecydowałam się na surówkę bawełnianą i rdzawy tusz. Wybór podyktował ciąg skojarzeń. Tusz kojarzył mi się z krwią, bawełna – ze skórą, rysowanie – z ranieniem skóry, a gotowy rysunek – z pustą powłoką, odciskiem na pościeli.

Formalne podobieństwo między własnymi rysunkami a chustą Weroniki zaintrygowało mnie. W konsekwencji zainteresowałam się chrześcijańską legendą. Weronika otarła zakrwawioną twarz Jezusa w drodze na Golgotę. Oblicze odcisnęło się magicznie na chuście. Treść legendy zbiegła się z moimi skojarzeniami. Zapragnęłam dowiedzieć się o Weronice jak najwięcej, ale do poważnych studiów zabrałam się dopiero w Nowym Jorku, wiosną 1982 roku.

Portret Jezusa – zwany przez Greków acheiropoietos („nie zrobiony ręką”), a przez Rzymian vera icon („prawdziwy obraz”, łacińsko-grecki zlepek) – okazał się zjawiskiem złożonym. Miał charakter fotograficzny i lustrzany. Funkcjonował na zasadzie relikwii. Odgrywał rolę symbolicznego potomka. Propagował mimeyzm w przedstawieniu Boga i popierał przedstawienie, a więc sztukę w ogóle. Legenda Jezusa, który ofiarował kobiecie – i ludzkości – swój obraz, sygnalizowała przełom teologiczny. Chrześcijaństwo zdecydowało się odciąć od aikonicznej tradycji judaizmu, nawiązać natomiast do sztuki pogańskiej i magii solarnej, ześrodkowanej w twarzy.

Twarz to centrum symboliki kosmicznej, obecnej we wszystkich religiach. Odwołują się one na różne sposoby do analogii między obliczem człowieka a tarczami ciał niebieskich, przede wszystkim zaś słońca i księżyca. W religiach, w których słońce jest bogiem, jego żoną jest zwykle księżyc o cechach chthonicznych, albo ziemia o cechach lunarnych. Przewodniej parze na niebie odpowiada para

Kuryluk Magia „Prawdziwej Twarzy”

władców. Ich los – i los państwa – zależy od solarno-lunarnej harmonii, którą gwarantuje podporządkowanie księżyca słońcu.

Przed wynalezieniem ognia ludzkość uzależniona była całkowicie od energii słońca. Za nim, jak za wskazówką zegara, obracała się twarz. O przerażeniu, jakie powodowały zaćmienia słońca, mówią legendy całego świata. Znaczna część religii monoteistycznych – i monoteizujących – wywodzi się z kultów solarnych. Wszystkie teologie, a za ich przykładem większość utopii i ideologii, odwołują się do kultu słońca i jego związku z twarzą i głową.

Symbolikę twarzy współtworzy wzrok. W wielu starożytnych religiach, w tym egipskiej i chińskiej, prawe oko odpowiada słońcu, lewe księżycowi. W japońskim sintoizmie jest na odwrót. Z magią solarną twarzą łączy się jej magia wizualna i lustrzana. Patrząc w twarz, w tym własną, bezwiednie spodziewamy się doznań, które nazwałabym powidokiem solarno-lustrzanym. Z jednej strony, oczekujemy jasności, energii i ciepła, odbicia charakteru i nastroju. Z drugiej strony – obawiamy się twarzy, w szczególności zaś wzroku, jak słońca, które oślepia i poraża, i jak lustra, które łowi obrazy.

Solarno-lustrzana magia wzrasta proporcjonalnie do ważności twarzy. Kontakt z twarzą sławną wzmacnia wrażenie skąpania w jej blasku; stanowi namiastkę oświecenia; obiecuje nieśmiertelność. Solarne twarze bogów i władców jednych chronią, innych odstrasza. Czerwień i złoto to kolory słońca i władzy.

Podstawę mitów solarnych stanowi dualizm światła i ciemności, dnia i nocy, życia i śmierci. Religie solarne słońce antropomorfizują, człowieka solaryzują. Większość bóstw słońca jest rodzaju męskiego i odgrywa rolę przodków-patriarchów. W kulcie bogów solarnych dominują formy falliczne, w tym głowy, często rogate lub skrzydlate, twarze z wyrazistymi nosami i wyszczerzonymi zębami. Lustra i złote maski.

Boginie słońca, dość rzadkie, mają cechy matek i są zwykle utożsamione, jak japońska bogini słońca, Amaterasu, nie z emisją energii słonecznej, lecz z powielającą funkcją lustra. Słońca sintoizmu nie sprawują władzy. Bogini Amaterasu wysłała z nieba swego wnuka, by został pierwszym cesarzem Japonii. Na drogę daje mu lustro, by w nim oglądał jasne oblicze babki. Kult lustra Amaterasu to centrum sinto. Ale lustro pozostaje w ukryciu, a wizerunków bogini nie widać. Buddyzm zasymilował panteon sintoizmu, nadając dawnym bogom japońskim nowe, buddyjskie imiona. Wśród przedstawień tych bogów Amaterasu nie pojawia się prawie nigdy. Jej miejsce zajął Budda. Jego kult również ewokuje słońce i posługuje się lustrem.

Grecka Meduza, znacznie od Amaterasu starsza, posiada wiele cech solarnych, podobnie Atena (rzymska Minerwa): następczyni i *alter ego* Meduzy. Symbolem Meduzy jest swastyka, atrybutem lustro. Boginie solarne to problem ciekawy, a mało zbadany. Czy się wywodzą z matriarchatu? Czy mają coś wspólnego z wodą, odbijającą słońce i wszechobecną w krajach wyspiarskich? A może w postaci japońskiego słońca odzywa się echem kult Meduzy, której twarze na murach i drzwiach spotyka się do dziś?

Glosy

W kulturze śródziemnomorskiej, podobnie jak chińskiej, przeważali bogowie solarni. Decydującą rolę odegrał starożytny Egipt, w którym przez tysiąclecia trwał kult boga słońca Re i rządzących w jego imieniu faraonów. Re wcielał niewyczerpaną energię i regularny ruch: w dzień żeglował przez niebieskie przestworza w „łodzi poranku”, o zachodzie przesiadał się do „łodzi zmroku”, wieczorem zanurzał się w podziemnym państwie bogini zachodu i przepływał je nocą, kierując się na wschód, skąd wynurzał się o świcie. Re władał wszystkim, także językiem. Stworzył swoje własne imię i trzymał je w tajemnicy, nawet przed swoją żoną, lunarną boginią Izydą, która w rządach męża pragnęła uczestniczyć.

Egipska religia solarna zasadza się na symetrii życia pod słońcem i życia pod ziemią: w państwie nocnego słońca-faraona. Określiło to kształt sztuki, której nie tworzone dla żywych. Ciała mumifikowano, przykrywano maskami, wkładano do człekokształtnych sarkofagów z solarnymi znakami. Zmarłych zaopatrywano w repliki rzeczy posiadanych za życia.

Egipt był kolebką luster. Pierwsze zrobiono z polerowanego selenitu ok. 4500 lat p.n.e., najstarsze lustra metalowe odnaleziono w grobach I Dynastii (2920-2770 p.n.e.). Typowym egipskim lustrom nadawano kształt lekko spłaszczonej przez atmosferę tarczy słonecznej, symbolizującej boga Re. Przeglądając się w lustrze, Egipcjanie kontaktowali się ze słońcem.

W politeistycznej Grecji, kraju miast-państw, słońce nie sprawowało władzy i nie cementowało despotyzmu. Cechy solarne można stwierdzić u wielu bóstw, w tym u Zeusa i zrodzonej z jego głowy Ateny. Słońce witano rano i żegnano wieczorem specjalnym pozdrowieniem, ale Heliosowi nie stawiano świątyń ani pomników. Wyjątek stanowiła wyspa Rodos, gdzie istniał kult solarny – zwykle uważany za produkt obcej tradycji – i stał słynny „kolos z Rodos”: gigantyczny posąg Heliosa.

Helios odznaczał się dynamiką i pełnił funkcję kontrolną. Z płonąca pochodnią w dłoni pędził po niebie w swojej złotej kwadrydze, wszystko mając na oku. To Helios doniósł Hefajstosowi o zdradzie Afrodyty, a Demeter – o porwaniu Persefony przez Plutona. Żoną Heliosa była Selene, bogini księżyca. Ale Helios monogamii nie praktykował i porzucał kolejne żony. Leukotoe, która nie mogła się z tym pogodzić, ze smutku wrosła w ziemię, zamieniając się w słonecznik.

Sol Invictus, rzymski odpowiednik Heliosa, nabrał znaczenia u schyłku cesarstwa. Niezwyciężone Słońce patronowało podbojom rzymskiej armii. Ze słońcem utożsamiali się Kaligula i Neron. U wejścia do *domus aurea*, pałacu Nerona, stała ogromna złota statua Sola z twarzą cesarza, który Rzym podpalił. Kult słońca ogłosił jednak religią państwową dopiero cesarz Aurelian, zapewne kawalerzysta niskiej rangi, który władzę objął w roku 270: w okresie zagrożenia imperium, które kultem słonecznym próbował scalić. Na rozkaz Aureliana zbudowano na Polu Marsowym świątynię słońca, a dzień urodzin Sola – 25 grudnia, przesilenie zimowe – ogłoszono świętem państwowym. Koniec pogańskiego świata stał w ogóle pod znakiem bogów solarnych: Apolla, Attisa, Serapisa, Mitrasa, Baala i wielu innych.

Kuryluk Magia „Prawdziwej Twarzy”

W Nowym Testamencie najwięcej metafor słonecznych przewija się w Apokalipsie św. Jana, w której Chrystus przybiera postać bezwzględnego solarnego wozdza. Metamorfozę Jezusa w boga słońca sugeruje scena przemienienia, gdy „twarz jego zajaśniała jak słońce, odzienie zaś stało się białe jak światło” (Mt 17, 2). Opis odwołuje się do Księgi Wyjścia: „Gdy Mojżesz zstępował z góry Synaj z dwiema tablicami Świadcstwa w rękę, nie wiedział, że skóra na jego twarzy promieniowała na skutek rozmowy z Jahwe” (Wj 34, 29). Ale Ewangelia Mateusza akcent przenosi ze światła na solarność.

Klemens z Aleksandrii (zm. ok. 211) określa Chrystusa jako słońce zmartwychwstania, zrodzone z gwiazdy porannej, a wschód słońca utożsamia z przyjściem na świat. Odpowiada to mitologii boga Re: noworodka, o świcie budzącego się w pąku lotosu, w południe osiągającego wiek męski, a starzejącego się pod wieczór. Na przełomie III i IV wieku solarność Chrystusa podkreślają artyści świeżo nawróceni z religii pogańskich. Jezus jako Helios powozi na niebie ognistym rydwanem, jako złotowłosa Apollo-pasterz wiedzie stado białych owiec.

Oficjalna solaryzacja Chrystusa dokonała się wraz z legalizacją chrześcijaństwa w roku 313 przez cesarza Konstantyna Wielkiego, który zręcznie połączył kult swojej osoby i rodziny z kultem solarnego krzyża i Chrystusa. Opowiadając Euzebiuszowi historię swojego nawrócenia, cesarz „zaręczył, że w godzinach popołudniowych, gdy już słońce chyliło się ku zachodowi, na własne oczy widział na niebie krzyż świetlany, unoszący się ponad słońcem z napisem: w tym zwyciężaj”. Gdy słońce zaszło, „w śnie pogrążonemu zjawił się Chrystus z tym samym znakiem, który widział na niebie, i rozkazał mu, ażeby uczynił znaki wojskowe podobne temu, który widział na niebie, i nimi posługiwał się jako ochroną zbawienie niosącą” (*Żywot Konstantyna*, 1, 28-29).

Zgodnie z tą wskazówką Konstantyn sprawił sobie włócznię w kształcie złotego krzyża, a na niej zawiesił „złote popiersie Bogu miłego cesarza i jego dzieci” (1, 31). Krzyż rozkazał nosić na czele cesarskiej armii, a jego znak umieścić na tarczach żołnierzy. W niecałe pół wieku po ogłoszeniu w Rzymie kultu Sola, Konstantyn zdecydował, że Wielkanoc obchodzona będzie w dniu słońca. Daty urodzin Jezusa nie znano. Wybór padł na 25 grudnia. Dzień Trzech Króli pokrył się w ten sposób ze świętami aż trzech bogów słońca: Dionizosa-Aiona, Ozyrysa i Harpokratesa. Chrześcijaństwo stało się religią państwową pod znakiem słońca.

Pierwsze historie o „prawdziwej” twarzy Chrystusa pochodzą z Bizancjum, sięgają początku V wieku i opisują portret o charakterze solarnym. Aspekt krwi i martyrologii jeszcze się w tych legendach nie pojawia. Bizantyjskie *acheiropoietoi* spadają z nieba, jak płótno z Kapadocji, które lokalna poganka – w Chrystusa nie wierzy, bo go nie widzi – odnajduje w swoim stawie. Po wyciągnięciu obrazu z wody kobieta stwierdza, że jest suchy, i rozpoznaje Chrystusa. Jego wizerunek owija w suknię, na której twarz Jezusa ponownie się odciska. Poganka zamienia się w chrześcijankę, a z jej portretu rodzą się w podobny sposób – lustrzano-solarno-płciowy – dalsze „prawdziwe” twarze Chrystusa. Od połowy VI wieku są one

noszone po całym kraju na czele procesji, od końca VI wieku również na czele cesarskiej armii.

Mandylion, czyli chusta z Edessy – najslynniejszy z bizantyjskich *acheiropoietoi* – pojawia się w legendach około roku 400. W niektórych ich wersjach portret Jezusa zostaje namalowany na rozkaz króla Edessy, Abgara. W innych wersjach Jezus sam odciska twarz, bo jej blask oślepia malarza. W połowie VI wieku biskup Edessy określa ten obraz po raz pierwszy jako „nie wykonany ręką”. I relacjonuje, bądź wymyśla, historię jego odnalezienia w murach miasta. Odtąd będą Edesę odwiedzać pielgrzymi z całego chrześcijańskiego świata i opisywać swoje wrażenia. W pewną Niedzielę Wielkanocną w VII wieku, na przykład, że twarz na chustce wciąż się zmienia: o szóstej rano Jezus wygląda na dziecko, o dziewiątej na chłopca, a o trzeciej po południu na mężczyznę gotowego nieść krzyż.

Mandylion z Edessy (i jego rozliczne kopie) czynił cuda podobne do tych, jakie w Nowym Testamencie przypisano Jezusowi, przede wszystkim zaś uzdrawiał i nawracał pogan. Zgodnie z magią sympatyczną, mandylion leczył zazwyczaj twarz, zniekształconą lub całkowicie zniszczoną, najczęściej przez trąd. Na widok promiennego oblicza Jezusa z chorych spadały okropne twarze i maski, jakie nosili trędowaci. Mandylion przywrócił zdrowie królowi Abgarowi, a duplikat chusty wypędził demony z córki perskiego króla Chosroesa, który bezskutecznie oblegał Edesę, chronioną przez święty obraz. Legendy mówią o przejrzeniu na oczy, wprowadzeniu z ciemności, tryumfie nad śmiercią. Ewokują wieczny blask słońca.

„Prawdziwa” twarz Chrystusa stanowiła talizman tak pożądany, że armia cesarska ruszyła na Edesę, której mandylion odebrano. 15 sierpnia 944 roku, w święto Wniebowzięcia Matki Boskiej, obraz Abgara wniesiono do Konstantynopola, gdzie rozgorzała właśnie walka o tron. W jego zdobyciu pomógł mandylion, czyniąc znaki i cuda. Na dowód wdzięczności cesarz Konstantyn Porfirogeneta polecił spisać pierwszą oficjalną historię mandylionu oraz go namalować. Na tryptyku, odnalezionym w klasztorze św. Katarzyny na górze Synaj, obraz króla Abgara trzyma teraz cesarz Porfirogeneta. W tradycji Kościoła Wschodniego chusta pozostała na zawsze w rękach mężczyzn.

Twarz Chrystusa w rękach kobiety należy do tradycji zachodniej, lecz postać Weroniki wywodzi się z Bizancjum. Weronika to zlatynizowana forma imienia Berenike (znaczy „niosąca zwycięstwo”). Motyw kobiety z męskim portretem pochodzi zaś – podobnie jak wczesne bizantyjskie przedstawienia Madonny z Dzieciątkiem – od popularnych przedstawień Nike: greckiej bogini zwycięstwa z tarczą, na której widać twarz władcy lub wodza. Na tą grecką tradycję nakłada się biblijna opowieść o Hemeroissie, uleczonej przez Chrystusa z permanentnej menstruacji. Po raz pierwszy Hemeroissa zwie się Bereniką w apokryficznych *Aktach Piłata* z końca IV wieku.

Fikcyjne *Akta* procesu Piłata to antyżydowski i prorzymski paszkwil, z którego początek bierze niezwykle popularne średniowieczne *legendarium*, relacjonujące z sadystycznym zapałem „sprawiedliwą zagładę” winnych – Piłata i Żydów – w zburzonej przez cesarza Tytusa Jerozolimie. Ocalona z niej zostaje tylko jedna

Kuryluk Magia „Prawdziwej Twarzy”

dobra Żydówka, Weronika: wielbicielka Chrystusa i malarstwa, a w niektórych legendach nawet artystka, która go sama sportretowała.

Motyw Golgoty pojawia się najpóźniej: na fali masowej mobilizacji do coraz bardziej krwawych wypraw krzyżowych, mających pomścić Chrystusa. Kościół decyduje się uznać chustę Weroniki za autentyk, a ją samą za świętą, dopiero w roku 1216, kiedy to instytucję Świętego Oblicza ustanawia papież Innocenty III: inicjator krucjaty przeciwko Albigenom, która kończy się ich zagładą.

Świętej Weroniki przypada 4 lutego. Datę skojarzono z folklorem, świętującym powrót słońca z antypodów, zgodnie z tradycją pogańską. W Rzymie obchodzono w lutym święto lustracji i ekspiacji. Po anglosasku luty zwał się *Solomonath*: „miesiąc słońca”. Weronika weszła więc do kalendarza. W obrazach, które się do niego odwołują, solarność twarzy Chrystusa jest szczególnie wyraźna i – jak w tradycji bizantyjskiej – dwójaka. Z chusty patrzy na nas żywe słońce: okrągła twarz blondyna o jasnej cerze i niebieskich oczach. Albo wzrok napotyka twarz martwą, pociemniałą: podziemne słońce nocy. Tak samo – w postaci jasnej i ciemnej – ukazywano w starożytności oblicza Meduzy.

W architekturze i sztuce ludowej twarz Chrystusa, jak Meduzy, odstrasza demony, chroni przed złym okiem. Niesiony na czele wojska weriakon ma prowadzić do zwycięstwa. Pogodną albo udręczoną twarz mężczyzny – a nie solarnego boga – ukazują najczęściej wielcy malarze schyłkowego średniowiecza, renesansu i baroku. U Memlinga czy El Greco jest Weronika narzeczoną, siostrą, wdową, która z melancholią i pietyzmem pokazuje światu twarz ukochanego mężczyzny. Nie ukrywam, że tylko taka Weronika mnie pociąga.

Magia „prawdziwego obrazu”, oscylującego między niepowtarzalną twarzą jednostki a tarczą słońca, patronuje portrecistom: malarzom, rzeźbiarzom, rysownikom, fotografikom. I tym, którzy swoje „słońce” utracili. Jesienią 1986 roku mieszkałam w Buenos Aires obok Plaza de Mayo. Codziennie pojawiały się tam „argentyńskie Weroniki” – z zawieszonymi na piersi „prawdziwymi portretami”: zdjęciami zamordowanych przez juntę synów, mężów, braci. Tak dziś demonstrują przeciwko zabijaniu bliskich, a czasem także nieznanym, kobiety na całym świecie. I nie tylko one. Po masakrze na placu Tienanmen, twarze zabitych studentów nosili ich koledzy.

No właśnie, w młodych cała nadzieja. Zakończę cytatem z pracy seminaryjnej mojej dawnej studentki (z nowojorskiej New School), która z kursu o chuście Weroniki wyciągnęła następujące wnioski.

Magię solarną – napisała – trzeba koniecznie przenieść z twarzy z Re, Sola, Chrystusa i innych przywódców, na twarz każdej kobiety i każdego mężczyzny, bo każdy ma tylko jedną twarz i jedno życie pod słońcem. Dlatego musimy się uodpornić na propagandę solarną, którą – zdaniem naszej pani profesor – jeszcze nie raz będą się nas starali ogłupić różni źli ludzie. Nigdy nie wolno nam się przyłączać do żadnych krucjat w imię słońca.

Dostała, rzecz jasna, piątkę z plusem.